

# ŚMIETNISKO

W fabryce pracował Chrystus. Tak o nim mówiono, choć naprawdę ani nie był Chrystusem, ani nie pracował. To znaczy przypominał wyglądem powszechne wyobrażenie Chrystusa: był wąły, raczej chudy niż szczupły, miał niezdrową cerę i zapadnięte policzki, które ukrywał pod rudziejącą na końcach, długą brodą. Nie miał jednak ani odrobiny chrystusowej charyzmy.

Za to z całą pewnością cherlawa postura utrudniała mu pracę w kuźni, którą wykonywał lub mówiąc dokładniej, którą starał się wykonywać najlepiej, jak umiał. Stał na wiotkich nogach, w granatowym, wiecznie poplamionym i o kilka rozmiarów zbyt obszernym kombinezonie, w zbyt dużych butach o szerokich metalowych nosach i trzymając w żyłastych rękach długie kleszcze, zdejmował z taśmociągu pieca pięciokilowe bryły młotów. Godzina po godzinie, dzień po dniu robił to z mozolem, wolno, znacznie wolniej niż należało, stąd też nikt w fabryce nie rozumiał, dlaczego właściwie przyjęto go do pracy i co więcej, nie wyrzucono jeszcze na ulicę. Chyba tylko przez litość, szeptano.

Najbardziej irytował Chrystus Wanię. Wania miał to nieszczęście, że urodził się ambitny, a pracować musiał do pary z Chrystusem - po drugiej stronie pieca, do którego wkładał żelazne bryły młotów. Nie można powiedzieć, że był głupi; na przerwach w kantine rozprawiał żywo o polityce i sporcie, interesował się historią i literaturą, czym bez wątplenia zadziwiał swoich wiernych a cierpliwych słuchaczy. Miał przy tym duże ładne oczy, rumianą twarz, był rośli i silny, co tylko dodawało mu uroku. Jednak gdy stawał przy piecu, wstępował w niego jakiś oszalały potwór, któremu nie mógł i chyba nie chciał się oprzeć. Z dzikością w oczach wyjmował młoty z drucianego kojca, dwa-trzy za jednym razem i jak styropianowe cegielki ciskał je do paszczy huczącego pieca. Co kilka minut uważnie spoglądał na zegarek, liczył sekundy i młoty, kalkulując w ten sposób wykonane młotogodziny i uśmiechał się radośnie, ilekroć wyszło mu na to, że w ciągu ostatnich pięciu minut pobił o dwa młoty rekord sprzed poprzednich pięciu minut. Jednakże gdy wynik obliczeń okazywał się gorszy, najpierw robił się bardzo poważny i widać było, że myśli, potem smutniał, by wreszcie ze zdwojoną energią, radośnie i lekko ciskać kolejne młoty. Można powiedzieć, że porażki mobilizowały go do jeszcze większego wysiłku. Ludzie co prawda czasami mówili, żeby się nie wygłupiał, że nie o ilość, lecz o jakość w tej pracy chodzi, że fabryka zdobyła światową renomę właśnie dzięki stałej i wysokiej jakości, i dlatego jego, Wani, najwyższą powinnością jest dbać o jakość. Szydercy dodawali, że tytułu przodownika pracy i tak nie dostanie, lecz on nie dawał się przekonać; wiedział, że jest w fabryce najlepszy i nawet miał po temu wyraźne dowody. Ilekroć mianowicie zdarzało się jakieś pilne zamówienie, na przykład seria młotów dla oddziałów kwatermistrzowskich wojsk lądowych Arabii Saudyjskiej, boss

zwracał się z prośbą o pomoc nie do kogo innego jak właśnie do niego. Po prostu tylko jemu mógł powierzyć tak odpowiedzialne, o znaczeniu strategicznym zadanie. Oczywiście byłby Wania jeszcze lepszy, gdyby nie ten nieszczęsny Chrystus po drugiej stronie pieca, który nigdy nie mógł z niczym nadażyć.

Początkowo Wania prosił i przekonywał, używając jak najlogiczniejszych i rzeczowych argumentów:

- Przecież obu nas wyrzuca! - tłumaczył błagalnym głosem. - Ty nie wiesz, Chrystus, ty jesteś nowy. W tej fabryce tak jak w życiu liczą się tylko najlepsi. Jeśli nie jesteś najlepszy, jesteś na ulicy i na twoje miejsce przychodzi najlepszy.

Ale głuchy na wszelki głos rozsądku Chrystus zawsze kończył rozmowę prosząc o drobną pożyczkę na bochenek chleba i pudełko margaryny, bo rzekomo od kilku dni nic nie jadł. A Wania czego jak czego, ale pożyczania pieniędzy to nie znosił.

- Pieniądzy, dziewczyny i samochodu nie pożyczam! - odpowiadał zdenerwowany i chcąc nie chcąc odchodził, nie załatwiwszy sprawy.

Próbował także nakłonić bossa, aby ten wyrzucił Chrystusa albo przynajmniej, w przypadku gdyby było to dla fabryki niewskazane, przesunął go na inne, odpowiedniejsze dla jego tężyzny fizycznej - w tym miejscu drwiąco się uśmiechał - stanowisko pracy. Ale boss, z sobie tylko wiadomych i doprawdy niejasnych powodów, również pozostawał głuchy. Widać, pomyślał w końcu Wania, coś musi być w tym Chrystusie takiego, że normalnie pozbyć go się nie da. Wtedy postanowił poczekać do czwartku i rozmówić się z nim ostatecznie i po męsku.

Czwartki były w fabryce dniem szczególnie ważnym, gdyż boss rozdawał koperty. Już od rana praca szła jakoś sprawniej, ludzie zdawali się być pogodniejsi i weselej niż zwykle próbowali żartować, nawet huk maszyn wydawał się cichszy, a odór spalonego oleju mniej duszący. Nawet słońce wpadało przez zadymione szybki w blaszanym dachu jaśniej i radośniej, niczym promyki nadziei.

Wani także udzielała się podniosła atmosfera tego dnia - lubił czwartki. Gdy tylko dostawał do ręki kopertę, a odbywało się to podczas przerwy na lunch, rzucał wszystko i biegł do ubikacji, by schroniony przed ludzkim wścibstwem oglądać i liczyć świeżutkie banknoty. Nie był chciwy, był oszczędny. Lubiał dotykać wypukłego druku, czytać napisy, lubił szelest najlepszej jakości papieru. Żył skromnie, wynajmował mały pokój u starej kobiety, która brała niedrogo, gdyż - Wania to w zasadzie rozumiał - nie ujawniała dochodów w corocznym zeznaniu podatkowym. W fabryce nie zarabiał wprawdzie dużo, ale i tak był bogaty, prawdopodobnie najbogatszy ze wszystkich, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jego młody wiek i niedługi staż pracy, przeliczony na młotogodziny. Następnie nacieszywszy się widokiem tygodniowej sumki, a właściwie usłyszawszy w hali dźwięk syreny oznajmiający koniec przerwy, biegł do pieca i do końca dnia ciskał młoty myśląc o tym, z jakim szacunkiem spojrzy na niego kasjerka w banku, gdy zobaczy powiększony stan konta, z jakim uwielbieniem spojrzą na niego ludzie w kolejce. Tego czwartku postanowił jednak zmienić rutynę i zaprosił Chrystusa na symboliczne piwo do pobliskiego pubu. Musiał to w końcu zrobić, tak dłużej być już nie mogło.

Chrystus, o którym mówiono, że jest alkoholikiem, chętnie przystał na zaproszenie. Od dawna dokuczała mu samotność, często miewał dręczące lęki egzystencjalne, wahał się dłużej żyć, więc może - pomyślał - rozmowa z Wanią, który na ogół klepie trzy po trzy, nie bardzo się nad tym zastanawiając, okaże się do pewnego stopnia pożyteczna. Może niezmacone samozadowolenie bijące z tego półchłopaka-półmężczyzny, przyniesie odpowiedź na dotąd retoryczne pytania o sens życia, ciągłość czasu, przemijanie, spokój duszy w świecie zwyrodniałym w przemoc i totalnie wyzutym z prawdziwych wartości? W każdym razie nie zaszkodzi napić się po pracy piwa.

Gdy zawyła ostatnia syrena i stanęły maszyny i piece, w hali nastała niemal idealna cisza. Ludzie pobiegli do szatni, niektórzy zrzucili brudne kombinezony, kobiety - fartuchy, inni tylko wyszarpnęli z metalowych szafek swoje puste foliowe torby z supermarketu i wszyscy stanęli w nerwowej kolejce do zegara, aby odbić karty. Chrystusowi wydawało się to irracjonalne, albowiem uważał, że życia człowieka nie można mierzyć fabrycznym zegarem i tekturową kartą; zawsze wychodził na samym końcu, protestując w ten sposób przeciwko upodleniu jednostki ludzkiej w świecie patologicznej technokracji.

Wania przeciwnie, był przekonany, że szybki bieg do zegara w celu natychmiastowego odbicia karty jest jak najbardziej uzasadniony, ponieważ zwlekanie, jak to robili niektórzy, nie wskazując palcem, stanowiło nieuczciwość wobec pracodawcy, a ponadto było niepotrzebnym marnotrawieniem czasu.

- To nieważne - argumentował teraz, stojąc obok Chrystusa - że pracodawca nie płaci za ani jedną minutę po ostatniej syrenie, niezależnie od tego, jak późno odbije się kartę. Ważne jest, żeby nie oszukiwać, bo oszukując można łatwo stracić zaufanie pracodawcy, na które tak ciężko się pracowało.
- Wobec tego na co komu te karty? - zapytał Chrystus.
- Chrystus! Jak to, na co? Te karty to podstawowa sprawa w naszej fabryce!

Tak dyskutując znaleźli się na utulonej w wiosennym słońcu ulicy i wkrótce doszli do narożnego pubu. W środku panował półmrok rozjaśniany czerwonym światłem lampionów, zawieszonych na długich sznurach nad stolikami, i rozlegały się dźwięki spokojnej popowej muzyki. Mimo wczesnej pory było już parę osób. Barman leniwie przecierał białym ręczniczkiem szklanę, jakiś mężczyzna wbijał białe mocne zęby w potężny kawał befsztyku, ktoś inny pochylał się i bujał nad stołem bilardowym. Przy kontuarze, skryte za szklanicami piwa, uśmiechały się dwie znajome z fabryki twarze.

- Drogo tu? - zapytał Wania, rozglądając się po sali, jak gdyby spodziewał się, że z którejś strony nadleci kamień.
- Nic się nie przejmuj, ja stawiam - odparł Chrystus i zamówił dwa piwa, jedno ciemne, bezalkoholowe, drugie jasne, pełne.
- A co ty, nie będziesz pił? - zdziwił się Wania.
- Nie, ja ostatnio tylko ciemne... - zmusił się do uśmiechu Chrystus.

Usiedli przy stoliku w kącie sali i przez chwilę w milczeniu gasili pragnienie. Wania pierwszy otarł usta wierzchem dłoni, miał minę sułtana.

- Wiesz, właściwie to chciałem pogadać - zaczął nieśmiało, szukając w myślach odpowiednich słów. - Chodzi o tę pracę. Widzisz, na pewno słyszałeś, że boss chce mnie zrobić swoim pomocnikiem. To cholernie odpowiedzialna praca i, boss mi jeszcze nie mówił, ale ja wiem, ja się nadaję. Widzisz, to jest taka u nas hierarchia - na blacie stolika ustawił palec jednej ręki, po czym drugą zaczął je kolejno odchyłać, raczej przestawiać - robotnik, pomocnik bossa, boss, dyrektor, właściciel. Jak boss odejdzie - zgiął jeden palec - to wiesz, kto będzie bossem? A jak dyrektor odejdzie? - A jak właściciel? - pomimo całej swojej łagodności Chrystus nie mógł się powstrzymać.

- No właśnie. Ty się śmiejesz, ale tak u nas jest. Taki jest porządek... Tylko że... no, głupia sprawa... Ty się albo musisz zmienić, albo... Zrozum mnie dobrze, ja muszę dostać tę pozycję! Ja po prostu muszę! A ty mi stoisz na przeszkodzie. Chrystus, ty się albo zmienisz, albo musisz odejść! - te ostatnie słowa wypowiedział już bez wahania.

- W jakim sensie mam się zmienić? - Chrystus zainteresował się rozmową, gdyż zwróciły jego uwagę pewne aspekty filozoficzne tego zagadnienia, które mogły okazać się kluczowe dla istoty człowieczeństwa Wani.

- W sensie wydajności pracy powinieneś się zmienić. Ty mi obniżasz moją wydajność i narażasz moją dobrą reputację. A na to nie mogę pozwolić. No nie mogę!

- Cóż, tak zwana reputacja człowieka jest pojęciem względnym i zależy od rozmaitych czynników kulturowych. Na przykład Aleksandryjskie kurtyzany cieszyły się najwyższą reputacją współczesnych, a dzisiaj kobieta piękna, zmysłowa, która uprawia posługę seksualną, jest w społeczeństwie napiętnowana. Lecz nie zmienia to faktu, że właśnie społeczeństwo wraz z demokratycznym reprezentantem, jakim jest parlament, nie tylko korzysta z jej usług, ale przede wszystkim to ono je stwarza. Inny przykład: poeci. Starożytny Rzym, Hellada, Mezopotamia, Chiny - poeci byli władcami i duszą narodów. Albo współcześni naukowcy... Jaką rolę odgrywała nauka w średniowiecznej rzeczywistości? Naukowców palono na stosach. Jaką odgrywa obecnie? Jaką zajmie w przyszłości? Jesteśmy świadkami budowania się fundamentów społeczeństwa scjentyistycznego, w którym naukowcy zajmą miejsce polityków i wojskowych, tak jak niegdyś oni zajęli miejsce poetów. Sam widzisz, że reputacja i w ogóle ta cała obyczajowość to opium dla mas, aby nimi łatwiej sterować.

- No tak, zgadzam się z tobą, ale ja muszę mieć tę pozycję. Mnie interesuje moje... - chciał powiedzieć, życie, lecz pomyślał przez chwilę i poprawił się: - Mnie interesuje moja egzystencja, teraz i tutaj!

Chrystus zrobił wesołą minę. Pociągnął długi łyk piwa i powiedział:

- Nigdy nie osiągniesz szczęścia, jeśli będziesz żył tylko życiem doczesnym. Życie doczesne jest marne i nic nie znaczy, a na pewno nic nie znaczy twoja względnie dostrzegana reputacja. Co ma znaczenie, to reputacja względem samego siebie, to, czy ty sam siebie szanujesz. I tu zasadza się sedno twojego losu: chcesz tej pozycji, bo chcesz być szanowany, bo tylko wtedy ty sam będziesz się szanował. A jako zwykły robotnik, powiedzmy, bezfunkcyjny, czujesz się niedoceniony, niedowartościowany.

- Przecież to normalne, że chcę iść w górę, tym bardziej że boss widzi, że się nadaję.

- Ach, ty nic nie rozumiesz. Dla ciebie wchodzenie na coraz wyższe poziomy społeczne jest celem samym w sobie, podczas gdy w istocie to właśnie społeczeństwo umieszcza cię na takim poziomie, na jakim cię widzi, przeważnie zresztą na najniższym, żeby trzymać cię nisko przy ziemi. Wówczas społeczeństwo czuje się

bardziej dowartościowane. Żyjąc dla społeczeństwa, żyjesz życiem fałszywym, żyjesz nie dla siebie, lecz na pokaz, cieszysz się życiem nie swoim, lecz pokazanym.

- A ty nie masz takiej potrzeby? Nie chcesz, żeby cię... właśnie... społeczeństwo umieściło? No chyba nie masz, bo jak ty wyglądasz? Twoja broda... twoje włosy... Jesteś społecznie odrażający. I w ogóle nie umiesz pracować. Gdyby to ode mnie zależało, dawno bym cię zwolnił.

- Broda też nie zawsze była społecznie odrażająca. Dla mnie ważne jest osiągnięcie coraz wyższych poziomów rozwoju wewnętrznego, dla mnie istotne jest to, jak ja postrzegam świat, a nie jak świat postrzega mnie. Dla mnie najważniejsze jest poznanie, które jest fundamentem człowieczeństwa. A zresztą spójrz na to obiektywnie: obaj jesteśmy nic nie znaczącymi elementami w życiu społecznym, powiedzmy, że w tej fabryce. Umrzesz - społeczeństwo nawet nie zauważy, odejdziesz z fabryki - młoty będzie robić ktoś inny.

- To odejdziesz, skoro nie jest to dla ciebie ważne, bo dla mnie jest. Musisz odejść. Nie potrzebujemy filozofów, tylko wydajnej pracy. Wcześniej czy później i tak cię wyrzucą, zobaczysz. Tylko że przez ciebie mogą wyrzucić i mnie.

- Wcześniej czy później... jak to zabrzmiało? Wcześniej czy później, drogi przyjacielu, wszyscy pójdziemy do piachu i tyle po nas zostanie co kupa kości. Tak naprawdę życie nie ma sensu - Chrystus zamilkł nagle i sposepniał. Poczuli, że zaczyna przejmować go lęk egzystencjalny. W gruncie rzeczy zazdrościł Wani jego prostoty myślenia i, co tu dużo mówić, prostoty życia. Jeśli któryś z nich miałby kiedykolwiek osiągnąć szczęście, to pewnie byłby to Wania. Byłoby to szczęście niepełne, ślepe, fałszywe, ale dające spokój skołatanej świadomości. Przeląkł się. - Przyniosę jeszcze piwa - powiedział po chwili.

Siedzieli już dość długo, Chrystus miał mętne oczy i długie usta, gdyż jednak zdecydował się na mocniejsze piwo, a Wania śmiał się z byle powodu i wlepił coraz bardziej krowie oczy w jedyną obecną na sali kobietę. Muzyka grała teraz głośno, przybyło gości i od zapachu piwa i dymu z papierosów zrobiło się duszno. Wania z coraz większym trudem rozumiał rozlewające się w ustach słowa Chrystusa, więc gdy w pewnej chwili dostrzegł wchodzącego z dworu Krygę, wesoło zaczął machać ręką. Kryga pracował kiedyś w ich fabryce, lecz zwolnił się, albowiem założył własny biznes. Jaki, tego nie chciał powiedzieć. Jednak widocznie dobrze sobie radził, gdyż ubrany był jak ta lala, nosił złoty osiemnastokaratowy sygnet na środkowym palcu i gruby łańcuch na szyi. Wani szalenie imponowała jego przedsiębiorczość; jeszcze w fabryce Kryga wymyślił sposób, żeby za jednym pociągnięciem drutu przy prasie, którą obsługiwał, jednocześnie zamknąć ochronną siatkę i zwolnić pneumatyczny pedał. Dzięki tej metodzie napracował się mniej, a zrobił więcej, z pożytkiem dla siebie i fabryki. Lecz później przyszedł jakiś człowiek z biura, obejrzał maszynę i kazał drut odczepić, gdyż jego zdaniem było to niebezpieczne. Swój pomysł Kryga chciał nawet opatentować i sprzedać fabryce, ale właśnie wtedy zaczął chodzić koło biznesu i długo już nie popracował.

- No i jak tam? - Kryga podał rękę Wani i nie czekając na odpowiedź powiedział: - Ty wiesz, co te cholery w banku mi porobiły? Plastik mi nie działa. Ty sobie wyobrażasz idiotów? Do jutra nie mam dostępu do pieniędzy. Rozumiesz, co za bank, nie mogę

wybrać moich własnych pieniędzy. Pożycz mi na piwo, bo parno jak w kotle, chyba będzie padać.

- Wy się znacie? - Wania położył dłoń na ramieniu Chrystusa.

- Co, ja Chrystusa nie znam? - zaśmiał się głośno Kryga. - Ty pożycz, Chrystus, na piwo, jutro się spotkamy, to ci oddam.

- Drogi przyjacielu, pożyczyłem tobie ze trzy razy na wódkę i mi nie oddałeś, a zatem co wskazuje na to, że oddasz mi tym razem? - wyrecytował Chrystus.

- Człowieku, jak Boga kocham, zapomniałem. No kurdeczka, gdybym pożyczył na samochód, to co innego, ale parę groszy? Ja mam taką głowę do pieniędzy - pokazał rękami jaką - ale do dużych pieniędzy, do dużych. A propos, mam parę butów do sprzedania, nie chcecie kupić? Brazylijskie.

- Po ile? - udał ciekawość Wania.

- Jak dla ciebie pół ceny. Daj trzy tysiące zaliczki i jutro ci, rozumiesz, dostarczę do domu, jak królowi.

- Trzy tysiące? To ile masz tych butów?

- A, kontener mi się trafił, ile chcesz. Ty Chytrus - zaśmiał się sucho - co ja mówię, Chytrus... Chrystus, weźże przynieś to piwo, bo chyba tu zaraz padnę, tak mnie suszy. Chrystus wstał i dość niepewnym krokiem udał się do baru. Wani zrobiło się nagle przykro. Spojrzał pod stołem na swoje twarde od odcisków dłonie. Taki Kryga to ma dopiero życie. No, ale trzeba przyznać, że głowę do interesów też.

- No co tam w fabryce? Stary jeszcze żyje? - rzucił Kryga, rozglądając się po sali za Chrystusem.

- Żyje, żyje. Ma mnie awansować na pomocnika. Tylko że mi Chrystus przeszkadza.

- Co, on też karierę robi? - zaśmiał się Kryga.

- Nie, tylko że mi reputację psuje - Wania zaczął zwierzać się ze swych zmartwień. Kryga zapalczywie czyścił paznokcie, obgryzając zadarte koniuszki i skórki. Gdy Wania skończył, zapytał: - Nie wymyśliłbyś, jak się go pozbyć? Strasznie mi zależy na tej pozycji.

- Nie takie rzeczy się robiło. Chrystusa to spokojnie, rozumiesz, można wysłać do domu wariatów albo zamknąć gdzieś na parę dni, to go sami wyrzucą z roboty za nieobecność. Zresztą mam lepszy pomysł, ale trzeba będzie trochę zapłacić chłopakom, no, jakies półtora tauzena. Chyba tyle masz, nie?

- Jasne, że mam - rozpromienił się Wania, lecz zaraz spochmurniał. - A nie można by inaczej, bez pieniędzy?

W tym momencie do stolika wrócił Chrystus, więc rozmowa zakończyła się pośpieszną sekretną wymianą spojrzeń i znaków. Chrystus postawił na stole trzy duże szklanki piwa.

- Macie, pijcie, a ty Kryga, pamiętaj, że Chrystus nie jest chytry - zanurzył usta w pianie i opróżnił sporą część szklanki; świat wirował coraz szybciej.

Gdy opuścili pub, na dworze było już ciemno. Ich rozgrzane do krwistej czerwoności twarze owiał przyjemny chłodny wiaterek wiosennej nocy. Kryga bez chwili wytchnienia perorował o swoich interesach, Wania słuchał z rozdziawionymi ustami, pocierając kciukiem spracowane dłonie. Chrystus był prawie nieprzytomny i z trudem utrzymywał równowagę ciała, jak gdyby na swych galaretowatych nogach dźwigał ogromny wór, balansując nim na wszystkie strony. Jak to w takich sytuacjach często bywa, zegnali się później dłuższy czas, wyznając sobie bezgraniczną przyjaźń,

oblupując się, śliniąc wzajemnie policzki, chuchając sobie w nosy żołądkowym oddechem i snując odważne plany na wspólną przyszłość. Po czym, ażeby zrewanżować Chrystusowi poniesione koszty, umówili się na spotkanie następnego dnia, o tej samej porze i w tym samym miejscu, i każdy poszedł w swoim kierunku.

Nazajutrz Chrystus nie pojawił się w fabryce. Wania szalał jak zwykle przy piecu. Z drugiej strony boss postawił młodego silnego chłopaka, można więc było spróbować pobić wszystkie rekordy naraz. Jednakże z każdą upływającą godziną Wania coraz bardziej markotniał. Niedośpana noc i nadmiar alkoholu, do którego jego organizm nie był szczególnie przyzwyczajony, wywoływały lodowaty pot i tętniący ból głowy. Ponadto im dokładniej przypominał sobie wczorajsze rozmowy, tym gorzej czuł się psychicznie; miał wyrzuty sumienia, że naciągnął biednego w końcu Chrystusa na to bezsensowne i kosztowne pijaństwo. Lecz nade wszystko martwiła go jego nieobecność w pracy oraz słowa Krygi, że zna on jakiś tajemny pomysł, jak pozbyć się Chrystusa. Im dłużej o tym rozmyślał, tym stawał się bardziej podejrzliwy i niespokojny. Może rzeczywiście Kryga wynajął kogoś, ażeby porwać lub pobić Chrystusa i teraz on, Wania, będzie musiał zapłacić półtora tysiąca? Jeśli Chrystusowi stało się coś złego, on i Kryga pójdą do więzienia! Odpędzał czarne myśli tłumacząc sobie, że takie chuchro jak Chrystus na pewno leży w łóżku i nie ma nawet siły, by wstać po szklanke wody na kaca.

Tak czy owak, ten dzień ciągnął się w nieskończoność i gdy wreszcie zawyła syrena, Wania popędził co tchu na umówione spotkanie w pubie, a następnie, ponieważ nikt się nie zjawił, pobiegł do domu, w którym Chrystus wynajmował pokój. Lecz i tam go nie było, a gospodyni nic nie wiedziała, może tylko to, że właśnie dzisiaj należy jej się opłata za pokój. Pognął więc do domu wspólnych znajomych, potem do kolejnego i do jeszcze innego, obszedł wszystkie puby, w których Chrystus najczęściej przebywał, szukał go po całym mieście, lecz nadaremnie. Pytał także o adres Krygi, lecz wszędzie, gdzie wiodły go ślady, dowiadywał się, że owszem, mieszkał taki, ale zniknął przed tygodniem, miesiącem, rokiem, nie zapłaciwszy dzierżawy i - co gorsza - pożyczwszy wcale niemałe kwoty pieniędzy.

Wanię zaczęła opętywać panika, bał się aż do bólu i im dłużej pozostawał w niszczących szponach strachu, tym bardziej się bał. Bał się odpowiedzialności za to, co zrobił i o czym pomyślał. Bał się o Chrystusa i o siebie, bał się Krygi i jego tajemniczych chłopaków. Bał się o półtora tysiąca i o pozycję pomocnika bossa. Bał się wreszcie tego, co powiedział w pubie i bał się siebie samego. Wieczorem, gdy wyczerpany do granic wytrzymałości wrócił do swojego pokoju, bał się samotności i nadchodzącej nocy, a także tego, że się boi, bo przecież jeśli się boi, to musi mieć jakiś powód. Bał się zatem także abstrakcyjnego powodu. Z wolna panika przemieniała się w obłęd, więc czując coraz wyraźniej, że odchodzi od zmysłów, zaczął wszystkie fakty analizować od początku:

- Chrystus jest alkoholikiem - mówił głośno do siebie. - Nie musiał upić się w pubie. Ale ponieważ to zrobił, sam ponosi odpowiedzialność. Kryga, czy spowodował zniknięcie Chrystusa czy też nie, również sam ponosi odpowiedzialność. Ja ponoszę odpowiedzialność za to, co zrobiłem, a że właściwie niczego złego nie zrobiłem, nie

ponoszę żadnej odpowiedzialności. Jestem niewinny. Ale jeżeli Chrystus nie żyje, winę ponoszą wszyscy, którzy do tego dopuścili. Sąd, egzekwujący prawa stanowione, uniewinni mnie, to pewne, ale do końca życia będę czuł się winny. A może Chrystus postanowił odejść, żeby nie psuć mi reputacji, przecież właśnie o to go prosiłem. A jeżeli wpadł pod samochód, pod pociąg, pod tramwaj? Jeśli była to śmierć przypadkowa? Mógł także przewrócić się i rozbić głowę, mógł popełnić samobójstwo, przecież zdrowy na umyśle to on całkiem nie był.

Oszołomiony swoimi myślami, Wania pobiegł do telefonu i nerwowo ślimacząc palcem po książce, wydzwaniał po okolicznych szpitalach, lecz Chrystusa nigdzie nie było. W końcu postanowił, że pójdzie na komisariat policji i wszystko opowie. Wszystko, to znaczy co? Że Chrystus jest alkoholikiem i nie przyszedł do pracy? Tylko tyle naprawdę o nim wiedział. Policja wyśmiej go i wypędzi za drzwi. Policja ma poważniejsze sprawy na głowie niż zniknięcie jakiegoś Chrystusa, który być może wcale nie zniknął, lecz ukrył się, by zakpić z Wani, by ukarać go za grzeszne myśli, by pognębić moralnie, zniszczyć, zniweczyć jego dobre samopoczucie i wysokie mniemanie o sobie. Wszak sam mówił, że społeczeństwo trzyma człowieka na najniższym poziomie, nisko przy ziemi, ażeby ono samo czuło się lepiej. Z drugiej strony mówił przecież, że jeśli umrzesz, społeczeństwo nawet tego nie zauważy. To znaczy, że nie będzie wiedziało, iż umarłeś, czyli w oczach społeczeństwa będziesz żył nawet wtedy, gdy umrzesz. Chyba że społeczeństwo znajdzie twoje martwe ciało... Może więc Chrystus popełnił samobójstwo i ukrył ciało, ażeby społeczeństwo go nie znalazło - w oczach społeczeństwa żyłby wiecznie. Chrystus był wariatem, więc mógł coś podobnie idiotycznego wymyślić. Był? Jest? Może chciał osiągnąć szczęście wieczne, o którym ciągle myślał? W Boga nie wierzył, bo mówił, że zostanie z nas kupa kości. Nic nie wspominał o duszy i raj. Wierzył w społeczeństwo, którego jednocześnie nie akceptował, a to już sprawa bardzo niebezpieczna. Pragnął zmienić społeczeństwo, jednocześnie nie wierząc w powodzenie - był męczennikiem społeczeństwa i siebie samego. Nagle Wanię zadziwiły jego własne myśli, poczuł strach, poczuł jakiś odmienny, obcy mu dotąd rodzaj strachu. Czyżby lęk egzystencjalny? A może wszystko, co mówił Chrystus, to prawda?

Tej nocy śniły mu się koszmary: Chrystus z fabryki bijący krzyżem Jezusa Chrystusa, społeczeństwo aniołów i diabłów bijące zgodnie brawo, on, Wania, wbijający fabrycznym młotem złoty gwóźdź w serce Jezusa, Kryga biegnący z krawiecką miarą wokół konającego ciała, jak groteskowy właściciel zakładu pogrzebowego, w czarnym kusym garniturze.

Przebudziwszy się rano spocony, zmęczony, nieuczesany, rozgniony, popędził do kościoła i znalazłszy się w konfesjonale powiedział przez kratkę do księdza:

- Ojciec, Chrystus zniknął! Szukałem go wszędzie, lecz nigdzie go nie ma.
- Synu, co ty mówisz? Zagubiłeś się w tym szalonym świecie, potrzebujesz pomocy. Chrystus jest w tobie, otwórz serce, a ukaże się On tobie, tak jak ukazuje się wszystkim, którzy w niego wierzą.
- Ostatni raz widziałem go przed pubem. Był pijany, ledwie stał na nogach. Poszedł do domu, lecz nie doszedł. Ojciec, ja się boję, że on popełnił samobójstwo... Że zabił się przeze mnie, bo prosiłem, żeby odszedł.



- Błóżnisz, synu. Chrystus w ogóle nie pije. Odpocznij, jesteś zmęczony, zgubiłeś drogę, ale Chrystus ci pomoże, pomódl się w ciszy, pomyśl o Nim. On jest w tobie. Czyń dobro, bądź pomocny, służ Bogu i ludziom. Nie odmawiaj, gdy proszą; rzucaj chlebem, gdy rzucają kamieniem; nie kradnij, nie cudzołóż, nie wywołuj imienia...
- Gospodyni też go szuka, nie zapłacił za pokój!
- Gospodyni niech też się pomodli, przyślij ją do nas, my jej pomożemy. I ona Go znajdzie. I ona. I ona.
- Co teraz będzie? Ja się bardzo boję. Czy już zawsze będę żył w strachu i w dręczącej winie?
- Czego się boisz? Strach nie jest grzechem, strach jest pokutą za winy. Dobrze, że do nas przyszedłeś. Nie jesteś sam. Jesteś w domu Chrystusa.
- To on tu jest? Przyrowadź go, ojcie, proszę, błagam, ja już dłużej nie mogę...
- Jest, synu, jest. Zaraz go zobaczysz, ale pozwól, że przyrowadzę kogoś, kto ci także pomoże, dostaniesz zastrzyk i zaraz poczujesz się lepiej. Przyrzeknij mi jednak, że już nigdy nie będziesz grzeszyć.
- Przyrzekam. Przyrzekam. Nie chcę już, by Chrystus odchodził, niech będzie, jaki jest, ale niech się ukáže, niech mnie dłużej nie dręczy. Ja mam lęki!
- Egzystencjalne? Chrystus też je ma. Każdy ma lęki egzystencjalne, o ile je sobie uświadomi. To nie grzech, to pokuta. Zaczekaj tu na mnie, przyrowadzę Chrystusa, pójdę po pomoc. Pomódl się tymczasem.

Za kratką nastąpiła cisza. Wania myślał i modlił się na przemian. A może modlił się myśląc lub myślał modląc. A może modlitwa jest myśleniem? Może myślenie jest modlitwą? Co się stało? Co zaszło? Świat, dotąd taki prosty i uporządkowany, nagle stał się zawily, niejasny, niepewny, przewróciły się jak klocki wszystkie wartości: fabryczny zegar, tekturowe karty, broda Chrystusa, złoty łańcuch Krygi... Ksiądz nie wracał, Chrystusa nie było, czas upływał jednostajnie. Nagle otworzyły się drzwiczki, wpadła smuga światła i w jej promieniach ukazała się uśmiechnięta twarz Krygi.

- Kryga, co zrobiłeś z Chrystusem? - zawołał.
- Ty, człowieku, bardzo źle wyglądasz. Ty źle się czujesz? Ludzie mówią, że biegasz po mieście jak oszalały i krzyczysz, że nie ma Chrystusa. Może jesteś chory?
- Kryga, przyznaj się, ja wiem, że go zabiłeś!
- Człowieku, ty oszalałeś, ciebie trzeba zamknąć. Ty musisz się leczyć.
- Piliśmy razem w pubie, ty, ja i Chrystus. Dokąd potem poszedłeś?
- Jak to dokąd? Do domu.
- Są świadkowie... barman... Chrystus kupował piwo... ta kobieta, dwaj ludzie z fabryki. Wszyscy widzieli! Zabiłeś Chrystusa! Tacy jak ty, wyzuci z prawdziwych wartości, nikczemni, podli mordercy...
- Szalony! Oszalał, nic więcej! Wariat! Ogłupiał! Ty lepiej idź do dobrego doktora. Ja nie mam czasu na twoje fanaberie, ja mam interes na głowie, ja się spieszę! Puszczaj! Zabierz te swoje pokręcone ręce!

Wania poderwał się na równe nogi i rzucił się na Krygę. Ten uskoczył w bok, lecz potknął się i upadł na posadzkę. Wania dopadł go i zaczął dusić, krzycząc na cały głos, że zabije mordercę. Głos ten odbijał się echem w kościelnej ciszy.

- Zabił Chrystusa! Zabił Chrystusa! Zabił Chrystusa!

Twarz Krygi zrobiła się sina, oczy nabiegły krwią, na skronie wystąpiły żyły. Żelazne palce szaleńca miażdżyły krtań. Nadbiegł ksiądz, doskoczyli ludzie, o la Boga, księdza przewrócili; mocne ramiona odciągnęły opętane ciało na bok.

Wtem nadjechała karetka i wbiegli sanitariusze. Wspólnymi siłami obezwładniono Wanię, związano go w kaftan, skrupowano ręce, spętano nogi, wywleczono z kościoła jak worek zmielonego mięsa. Ksiądz podniósł się z podłogi, otrzepał sutannę, ręce drżały mu jak struny.

- Reputację mi psuje! Sekciarze przeciwko Kościołowi! Społeczeństwo przeciwko sekciarzom! - krzyczał, a głos jego grzmiał groźnie i surowo.

Ludzie rozsunęli się na boki i spoglądali z coraz większą niepewnością to na księdza, to na wciąż szarpiącego się w kaftanie Wanię, to znów na Krygę, który stał jak rażony piorunem i patrzył w jasność dnia bijącą z dworu przez drzwi świątyni.

Po kilku dniach Wanię zwolniono ze szpitala, zalecając odpoczynek i kurację przeciwko nie tyle chorobie, co stanowi świadomości ogarniętej Depresją Naszych Czasów.

Wania wrócił do fabryki, gdzie nadal wrzucał do pieca żelazne młoty, lecz robił to jakoś ospale, mechanicznie, bez serca. Nie był już najlepszy, nie bił rekordów, nie przeliczał młotów i sekund na młotogodziny. Ogarniały go coraz większe wątpliwości, nie pragnął już tej pozycji pomocnika bossa, nie biegał w czwartki do ubikacji, nie cieszył go stan konta w banku, nie widział w spojrzeniu kasjerki niczego poza uprzejmą obojętnością. Coraz częściej miewał lęki egzystencjalne, zastanawiał się nad sensem życia, wahał się żyć. Całymi dniami rozmyślał o Chrystusie, lecz im dłużej to trwało, tym mniej rozumiał. Jednak potajemnie, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, prowadził prywatne dochodzenie. Owszem, wszyscy potwierdzili zdarzenia zaistniałe w pubie, lecz nikt nie interesował się dalszym biegiem rzeczy. Zniknięcia Chrystusa nikt nie zauważył. Nawet policjant, do którego zwrócił się Wania składając zgłoszenie o zaginięciu, zachował się całkiem obojętnie. Później, co pewien czas wzywano go wprawdzie do prosektorium, lecz żadne ze zwłok, które miał rozpoznać, nie były ciałem Chrystusa. Co pewien czas znajdowano zwłoki brodatych, chudych mężczyzn, to nad rzeką, to przy torze kolejowym, to w lasach na obrzeżach miasta, lecz byli to zwykli miejscy pijacy, przeważnie bezdomni, niepracujący, najczęściej wywodzący się z aspołecznych, patologicznych środowisk kryminogennych, którymi społeczeństwo interesowało się tylko o tyle, o ile byli oni niebezpieczni. Z czasem w ogóle przestano go wzywać i w powodzi bieżących wydarzeń, w szaleństwie pędzących dni i miesięcy zapomniano o całej tej sprawie. Dopiero po wielu latach Wania przeczytał w gazecie, że porządkujący stare opuszczone śmietnisko buldożer odkopał przypadkiem wyschnięty szkielet człowieka. Wania pomyślał wtenczas o wciąż tkwiących w jego pamięci, wciąż pulsujących w skroniach, wciąż prawdziwie brzmiących słowach Chrystusa: tyle po nas zostanie co kupa kości.